NUMER 30. DNIA 24. LIPCA 1904 ROKU. ROK XII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Z pamiętników Wincentego Pola.

OBRAZKI LITEWSKIE.

Było to już po przejściu Świętej rzeki. Wojska polskie wkroczyły na Żmudź, w przedniej straży postępował jenerał Dembiński, a brygada nasza ułanów z baterją artylerji konnej księcia Janusza Czetwertyńskiego trzymała przednią straż korpusu, bo nieprzyjaciel postępował krok w krok prawie za nami, a na każdej trudniejszej przeprawie przez groble i mosty odpierała baterja konnej artylerji natarczywość jego. Trudzącym tedy bardzo był ten pochód, a cóż dopiero, gdy po całodziennym marszu na straszliwych upałach nie można było spocząć, bo działa okopywano na groblach i po za mostkami, brygada musiała stać w szyku bojowym, ku nieprzyjacielowi frontem zwrócona w asekuracji baterji, a gdy się zmierzchać poczynało, komenderowano patrole i większe podjazdy, aby nieprzerwanie utrzymywać czucie na linji bojowej i znać w ciągu nocy każdy ruch nieprzyjaciela. Bardzo tedy trudzącą była ta służba, bo zaledwo można było popaść konie po całodziennym marszu, a już tych samych ludzi komenderowano na podjazdy większe i małe podsłuchy.

Dziesiąty pułk ułanów, w którym służyłem, tworzył tu jedną brygadę z pierwszym pułkiem ułanów, a wszystkie podjazdy i patrole komenderowano tak, że każdy pułk dawał połowę ludzi, a komenda była przy oficerze starego pułku.

Takito tedy podjazd wyruszył od zadniej straży, z pięćdziesięciu sześciu koni czyli dwóch plutonów złożony, w noc ciemną, mając sobie kierunek wskazany i wziąwszy dobrego przewodnika z sobą, który jechał konno przy poruczniku Lubomirskim, oficerze z pierwszego pułku ułanów, prowadzącym podjazd. Cztery razy przyszło nam tej nocy zetrzeć się z Czerkiesami, którzy za każdym razem ustępowali miejsca, bo jak we dnie, tak i w nocy nie wytrzymali oni nigdy natarcia lancy ułańskiej i liczyli tylko na celne strzały janczarek. Przeraźliwy to był gwizd tych małych miedzianych kulek, opatrzonych uszkiem i trzema końskiemi włosami. Nocą wszakże nie raziły strzały i podjazd nasz nie stracił tej nocy ani jednego człowieka i nie miał rannego, ale spotykając się na całej linji swego pochodu z Czerkiesami, przemyśliwał już o powrocie; mała grobelka, na którąśmy naszli, jadąc polem, podawała ku temu sposobność, bo prowadziła wprost ku północy, a w tej stronie musieliśmy natrafić na swoich. Jakież wszakże było zadziwienie nasze, gdyśmy przed sobą posłyszeli gwar maszerującego wojska w poprzek grobli, i krótkie wykrzykniki moskiewskiej komendy.

Jesteśmy odcięci, rzekł z cicha do mnie porucznik Lubomirski, tego samego zdania był przewodnik, który znał okolicę dobrze. Zeszliśmy tedy z grobli i stanąwszy w wielkich krzakach, ustąpiliśmy tej kolumnie z drogi, która przed nami w poprzek drogi ciągnęła. Porucznik kazał w ręku trzymać konie krótko, by który koń nie zarżał i nie zdradził naszego schronienia.

Cały pułk piechoty przebył w poprzek groblę, przewodnik nasz przepełznął na brzuchu przez krzaki, i doniósł, że grobla wolna, byle pośpieszyć się z przerżnięciem przez linje Moskali. Jakoż znać było między niemi umówione znaki, bo krótki werbel bębna ozwał się w znacznem oddaleniu od czoła pułku, który już w poprzek groblę przeszedł i oddział nasz pominął, a na ten werbel odpowiedziała trąbka jazdy, która znać tylną straż

tego oddziału trzymała. Po werblu bębna i oddaleniu trąbki, która odzew dała, można się było domyślić, że grobla jest wolną i że przejdziemy po niej, byle korzystać z tych kilku minut czasu, które oddzielały zastęp piechoty od jazdy. Szóstkami tedy stanęliśmy na grobli, porucznik komenderował do flanki broń i z miejsca: Marsz! Marsz! Na grobli zajęczało pod kopytami końskiemi kilku maroderów moskiewskich, którzy za oddziałem dochodzili, z rowów i z poza rowów padło nawet kilka strzałów, ale podjazd nasz przeszedł cało. Po kilku minutach byliśmy poza linją moskiewską i słyszeliśmy poza sobą gwar maszerującej kolumny, którąśmy przed chwilą jeszcze mieli przed sobą. Gdy pierwszy most zadudnił pod nami, ostrzegł przewodnik, że już całe niebezpieczeństwo minęło, ale radził porucznikowi, aby most zerwać za sobą; zsiedliśmy tedy powoli z konia i zrzuciliśmy pokład z mostu do rzeki, który z wodą popłynął, a znając się już teraz bezpiecznymi daliśmy obrok koniom, które już prawie ustawały, bo od ostatniego obroku, upłynęło już więcej, niż pół doby i konie i ludzie kładli się na groble. Przewodnik nasz przeszedł po belce zerwanego mostu, trzymając się poręczy w części już także zerwanej i doniósł, że jazda przeszła, ale że słychać w oddaleniu kroczenie Czerkiesów i że nie jest bezpiecznie obozować blizko linji, zajętej przez Moskali, bo się dzień robi. Nie łatwo było ocucić konie i ludzi, których wielka ogarnęła senność. Porucznik kazał tedy w ręku prowadzić konie, aby się komenda z senności odjęła i tak postępowaliśmy wolno, utykając na każdym kroku, bo grobla była niegodziwa, z faszyn i okrąglaków ułożona. Jutrzenka zbladła i posłyszeliśmy pianie kur, brzask obleciał świat — i: na koń!“ — komenderował znowu porucznik. Gdy się biały dzień zrobił, stanęliśmy w małej, leśnej zagrodzie, był to szlachecki zaścianek i wśród chat włościan, sterczało kilka okazalszych dworków. Przed wioską była gospoda, tu tedy zatrzymał się nasz podjazd, u płotów postawiono konie, a my weszliśmy do karczmy, gdzie gospodyni właśnie wyjmowała z pieca chleby z świeżego pieczywa. Przewodnik nasz obiegł cały zaścianek i w mgnieniu oka był owies dla koni, a prowianty dla ludzi, przewodnik wykomenderował z włościan i szlachty straż na groblę, która pokłady jeszcze dwóch mostów zrzuciła. Jedyna droga, która do owej wsi prowadziła, była ta grobla. Po prawej i po lewej stronie grobli, ciągnęły się błota i gęste lasy. Za zrzuconemi mostami znaliśmy się tedy bezpieczni, a że konie i ludzie potrzebowali odpoczynku, kazano rozkulbaczyć konie, a wiarusy chrapały, gdzie który padł przy koniu.

Było może około 10-tej przed południem, gdy przypiekające słońce rozbudziło podjazd. Pozór też całego zaścianka był zupełnie odmienny i szlachta i włościanie po świątecznemu ubrani, zapraszali nas do domów, gdzie już i śniadanie i obiad był przygotowany, wszystkie domy ozdobione jodełkami wszystkie sienie i podwórza posypane piaskiem i potrzęsione siekaną jedlinką, wszystkie stoły nakryte, wszystkie twarze, promieniejące radością, najserdeczniejsza gościnność obok wylania uczuć patrjotycznych. Wiarusy ogarnąwszy się trochę, bo rzeka płynęła przez wioskę, a każdy miał w torbie szczotkę, gromadzili się przed kwaterą porucznika, którego do najokazalszego zaproszono dworku, ale, że się wolno ściągali, zasypując na nowo koniom obroku i robiąc porządki około koni i siebie, dochodziła może 11-ta godzina, a cały zaścianek zebrał się w obszernym dziedzińcu przed kwaterą porucznika, oczekując na chwilę uraczenia swych gości i prosząc o to, aby też do każdej chaty ktoś z panów koronnych wejść raczył i przyjął gościnę.

Na tem oczekiwaniu upłynęła może godzina; w tem powstał jakiś ruch niezwykły w całej osadzie zaścianka tak, że zrazu myśleliśmy, że to jakaś wiadomość o Moskalach od grobli i zrzuconych mostów — nie tak wszakże było.

(C. d. n.)

Krótkie streszczenie prac prof. Zieglera.

Prof. Ziegler, znany uczony niemiecki, wykonał w ostatnich czasach szereg doświadczeń w Neapolu i w Villefranche sur Mer nad sztucznie zapłodnionemi jajami jeżowców (Echinoidea ze zworza szkarłupni, Echinodermata), poddając je działalności alkoholu, poczynając od jednoprocentowej domieszki do 4-procentowej. Dla kontroli obserwował równocześnie jaja rozwijające się w wodzie morskiej zwykłej, bez domieszki alkoholu. Rezultaty badań prof. Ziegler'a są niezmiernie ważne, bo mają doniosłość ogólno-biologiczną, a zarazem i antropologiczną. Ważniejsze z tych rezultatów podajemy w niniejszem streszczeniu.

Większość jaj, umieszczonych w zwykłej wodzie morskiej, rozwijała się prawidłowo, natomiast w wo-

dzie z alkoholem już przy domieszce, wynoszącej 1% alkoholu, rozwój słabszych okazów był zwolniony i wszystkie one ginęły ostatecznie, silniejsze zaś okazy rozwijały się nieprawidłowo. Przy domieszce 2% alkoholu szkielet u larw nie wytwarzał się wcale. Przy 3% domieszce alkoholu wszystkie larwy zginęły. A zatem ujemny wpływ alkoholu na rozwój jaj jeżowców nie może ulegać żadnej wątpliwości. Widzimy tutaj potwierdzenie faktów, obserwowanych u człowieka, mianowicie, że dzieci alkoholików rodziców, albo giną przedwcześnie, albo rozwijają się nieprawidłowo. Faktów takich mamy pełno, ale zacytuję tu jeden znamienny, obserwowany ze ścisłością najdokładniejszą. Opisany on został w dziele P. J Moebius'a pod tytułem „Goethe“ (dwa duże tomy. Lipsk J. A. Barth 1903).

Goethe należał do umiarkowanych, wypijał dziennie jedną albo dwie butelki wina, żona jego Krystyna, Zofja z domu Vulpius miała być mniej umiarkowaną, ilości jednak butelek wypijanych przez nią dziennie biografowie nie podają. Ojciec Krystyny umarł na alkoholizm umiarkowany. Wilhelm Grimm powiada o Goethem, że pił pilnie (fleissig), ale jego żona jeszcze bardziej pilnie, w każdym razie wypijali nie więcej jak to, co się nazywa w potocznej mowie piciem umiarkowanem. Rozpatrzmy teraz skutki picia umiarkowanego:

25. grudnia 1789 urodził się małżonkom Goethe syn August, który się wychował, ale był nałogowym pijakiem, umysłowo zwyrodniałym, umarł w Rzymie 1830, nagle, na udar sercowy i sekcja dokonana przez lekarzy włoskich wykazała: degenerację wątroby i różne patologiczne zmiany w mózgu i jego oponach. W r. 1791 14. października przyszło na świat dziecko płci męskiej nieżywe; 24. listopada 1793 r. urodziła się córka, która umarła w grudniu tego samego roku; 1. listopada 1795 r. przyszedł na świat syn, pochowany 18. listopada tegoż roku; 18. grudnia 1802 r. podczas ciężkich porodów zmarło dziecko płci żeńskiej.

Na tym przykładzie poprzestajemy, czyniąc tę uwagę jedynie, że przyjemność picia rodziców pozbawiła społeczeństwo niemieckie potomstwa, pochodzącego od jednego z najgenjalniejszych ludzi ówczesnej epoki.

Gdyby żona Goethe'go była abstynentką, to skutki „umiarkowanego picia“ męża mogłyby być zmniejszone, ale gdy małżonkowie oboje są umiarkowanymi, wtedy ratunku nie ma najzupełniej i jak larwy jeżowców tak dzieci umiarkowanych, albo ginąć muszą, albo też żyją zwyrodniałemi. Z powyżej wymienionych doświadczeń Ziegler'a daje się wyprowadzić niezmiernie ważne prawo, mające wielkie znaczenie dla biologji, mianowicie larwy jeżowców wychowane w wodzie morskiej z domieszką alkoholiczną dwuprocentową wykazują nadzwyczajne podobieństwo do początkowych stanów rozwojowych larw strzykw (Holothuriae) i rozgwiazd (Asteriae), a zatem domieszka alkoholu nietylko wpływa ujemnie na rozwój jaj jeżowców, powodując śmierć larw, ale co jest ważniejszem, że pozostałe przy życiu larwy zbaczają od typu rodzicielskiego, by wystąpić w formie uwstecznionej, posiadającej postać rodowo bardziej pierwotną, niż larwy, rozwijające się normalnie. Jest to potwierdzenie faktu obserwowanego u człowieka, wiadomą bowiem jest rzeczą, że dzieci ludzi pijących są moralnie i fizycznie uwstecznione, są to, że tak się wyrazimy, strzykwy rodzaju ludzkiego. To też dla rozwoju normalnego jaj jeżowców, konieczną jest woda czysta morska bez alkoholu, zaś dla normalnego rozwoju dzieci łono bezalkoholiczne ich rodziców.

Dr. B. Dybowski.

U źródeł belletrystyki.

(Ludwik Bernacki: Przyczynki do dziejów najdawniejszej powieści polskiej. Lwów 1904. Tegoż: Piotra Baryki „Z chłopa król“ komedja dworska 1637. Kraków 1904).

W wydanej w rosyjskim języku pracy pt. „Średniowieczna zachodnio europejska powieść w rosyjskiej i słowiańskich literaturach“ podał prof. Stanisław Ptaszycki z Petersburga wyniki swoich badań, tyczących się dziejów dawnej powieści polskiej, względnie tematów, obrabianych przez pierwszych polskich powieściopisarzy. Tematem takim głównym były z jednej strony „Historje rzymskie“ (*gesta Romanorum*), z drugiej zaś historje o Aleksandrze Wielkim, trojańska, o Marchołcie, o Fortunie, Meluzynie, Magiellonie, Gryzeldzie i Barnabaszu.

Zebrany ten materjał uzupełnia obecnie młody a bardzo sumienny badacz p. Ludwik Bernacki pracowicie po bibljotekach zebranymi szczegółami. Pomijając drobniejsze z nich, zatrzymać się wypada nad odszukanym przez autora w bibljotece Pawlikowskich we Lwowie rękopisie dominikanina ks. Stefana Szołuchy z końca siedmnastego wieku, zawierającym zbiorek opowiadań z *„Gesta Romanorum“*. Ciekawy jest ten zbiorek o tyle, że rzuca światło na strawę duchową, belletrystyczną, którą się ówczesna generacja karmiła.

Jak zaś pożerane były przez czytelników różne cudowne i umoralniające powieści, dowodzi fakt, że jedna z nich („O cudownem ukaraniu zuchwałego cesarza Jowiniana. Przykład o pysznym cesarzu Jowinianie i o jego uniżeniu, a że Pan częstokroć pyszne zrzuca, a pokorne podwyższa“) dostała się w formie oblaty aż do aktów grodzkich i ziemskich we Lwowie, gdzie ją jakiś, nie mający nic lepszego do roboty, pisarz zapisał ze wszystkimi (fikcyjnemi) formułkami zwykłego aktu prawnego.

Oto niektóre tytuły opowiadań, zawartych w zbiorku ks. Szołuchy, tytuły same za siebie przemawiające:

„Historja o Apollonie, królu tyrskim i Tarsyej królewnie. Przykład iże smutek przemienion bywa w wesele“.

„O złośliwej świegotliwości białogłowskiej. Przykład, że nie mamy żonom wierzyć ani tajemnic objawiać“.

„O sztucznem ułowieniu złodzieja nocnego. Przykład, że każdy pasterz ma mieć o owcach swoich staranie“.

„O dowcipnej przewrotności białogłowskiej. Przykład, że prawdę mamy wyznawać aż do śmierci“.

Również i do dziejów powieści o Troi, Meluzynie, Magiellonie i t. d. dorzuca autor wiele ciekawych, choć drobnych przyczynków, wyrażając między innemi wcale ugruntowane przypuszczenie, że „Historja barzo piękna, ucieszna — o zburzeniu a zniszczeniu onego sławnego miasta i państwa trojańskiego“ była najprawdopodobniej jedną z pierwszych książek, wytłoczonych w języku polskim.

W związku z powyższemi studjami p. Ludwika Bernackiego zostaje i wydana przez niego w „Bibljotece pisarzów polskich“ nakładem krakowskiej Akad. Umiejętności „Komedja dworska“ Piotra Baryki pt. „Z chłopa król“. „Komedja“ ta znaną jest nawet w podręcznikach szkolnych, jako jeden z najlepszych utworów dramatycznych polskich z siedmnastego wieku. Wydanie niniejsze dokonane na podstawie porównania dwu znanych egzemplarzy z r. 1637, poprzedził autor wstępem, w którym na podstawie szczegółów, w samej komedji zawartych, stara się odtworzyć życiorys autora, a sam pomysł i motyw komedji odnosi do zamierzchłych czasów dalekiego Wschodu. Ciekawe jest zestawienie, dokonane przez autora z wielką pracowitością i znajomością literatury naszej, a odnoszące się do kwestji, gdzie i w których utworach polskich motyw ten został zastosowany i w jaki sposób.

Poważny zakres studjów, których próbkę podał p. Ludwik Bernacki w wymienionych dwu pracach każe w nim powitać sumiennego i pożytecznego pracownika na niwie historji literatury.

F. J.

PIOTR LOTI.

ŻEBRAK.

(Dokończenie.)

Wczoraj, spostrzegłem przez moje okno, nadchodzącego człowieka. Był silnie pochylony, drżał cały, — na grzbiecie niósł czarne pudło. Zamiast „Ave Maria purissima“, usłyszałem, jak ze służbą moją głośno rozprawiał, przypadkiem poznałem, że nie mówił żebraczym żargonem, do mych uszu doszedł akcent bretoński.

Pragnąłbym mówić z panem Loti, — prosił służących, — chciałbym bardzo się z nim widzieć, doprawdy, bardzo mi na tem zależy...

— Słyszałem, jak opowiadał, że mnie zna jeszcze z czasów wojny w Chinach, że byłem wówczas kapitanem, a on służył pod moją komendą...

Taki stary człowiek miałby być moim byłym podkomendnym... nie wydawało mi się to prawdopodobne. Zadzwoniłem jednakowoż, by wydać rozkaz nieodprawiania go.

Gdy zeszedłem do niego, do drzwi, zdjął czapkę.

— O mój kapitanie — rzekł, przytem dygotał jeszcze bardziej ze wzruszenia. — Pan mnie już pewnie nie poznaje?

Mój Boże... nie... nie poznałem go najzupełniej.

— Cloarec,... nazywam się Cloarec... Nie przypomina pan sobie? Służyłem na pokładzie „Atalanty“...

Mówił zmęczonym, często przerywanym głosem, przez członki jego szło ciągłe drżenie, jak gdyby jakiś strach śmiertelny.

Przyjrzawszy mu się lepiej, zauważyłem, że mimo swego nędznego, zgrzybiałego wyglądu, starcem nie był jeszcze, — mógł liczyć lat trzydzieści pięć, do trzydziestu ośmiu, jak wszyscy majtkowie, którzy ze mną chińską wyprawę odbyli.

— Służyłem... w pańskiej kompanji... kapitanie... w drugiej... W niedzielę dostawałem podwójną rację od pana... bo... bo był pan ze mnie zadowolony.

A teraz, — cechowała go brzydota, biednego, chorego, często bitego psa, — dobre żebrzące, o litość, bardzo głęboko wpadłe oczy, które wydawały się jak gdyby były bretońskiemi mgłami owiane. Miał na sobie nie niszczący się nigdy „caban“ (kurtkę marynarską), którą wysłużeni marynarze do śmierci zwykle noszą: dziurkę od guzika, zdobiła wstążka medalu zasługi z Tonkinu.

— Moją książkę służbową i świadectwo, które od pana dostałem noszę ze sobą... w pudle... W Dux, dowiedziałem się, że pan tu bawi... kapitanie... i dlatego przechodzę tędy.

Pokazał mi rzeczywiście swą książeczkę marynarską; była zniszczona, zbrudzona, ciągłem pokazywaniem w najrozmaitszych francuskich wsiach i miasteczkach, przez które biedny ten człowiek wędrował. W książeczce tej w rzeczy samej wpisane było moje nazwisko i świadectwo, które mu przed laty wydałem.

By mu nie robić przykrości, udałem, że go sobie wreszcie przypominam i poznaję. Jakież dobre świadectwa miał ten człowiek: „Conduite parfaite, a servi avec zèle et honneur“. Żadnej kary nie miał wpisanej. Przy końcu wpisane moją ręką: „A pris part, au bombardement de Thuan An.

Szturm na Thuan An!

Jakieś dziwne, nieokreślone uczucie owładnęło mną na wspomnienie tego dnia, gdy zachodzące słońce jaskrawe blaski siało na piaszczyste równiny Annamu,... widziałem Annam przed sobą, czarne od kurzawy i dymu, naszemi bombami zapalonych wsi...

Jak mi się to wszystko, co mi przed oczy wywołały strzępy papieru tego starego drżącego człowieka, wydawało ogromnie odległe, nieskończenie odległe, dalekie, zapomniane.

Leżało to wszystko od lat wielu... zduszone... pogrzebane w falach czasu...

— Podarły się te moje biedne świadectwa, bo je ciągle rozmaitym ludziom pokazywać musiałem, — nic nie pomogło, że je szanowałem, jak mogłem... nie chciały się trzymać... i rozlatują się już.

W jego poczciwych, zamglonych, oczach, zabłysły dwie duże łzy; — myśl, że te papiery, te cenne relikwje, skarb największy, jaki posiadał na świecie, rozsypią się pewnego dnia w kawałki, dręczyła go widocznie niewypowiedzianie.

— W czasie połowu ryb w Islandji, pewnego razu w okropną burzę, wpadłem do wody i od tego czasu zostałem już takim, jakim mnie pan widzi, ciągle trzęsący się kaleka... Nie mogę już pracować... Nikogo nie mam na świecie... a na skromne życie zarabiam na targach, sprzedając tanie szpilki, papier listowy, grzebienie i... pieśni...

Zaopatrzyłem trochę skromnie małą jego sakiewkę, a potem podał mu służący mój, który niedawno jeszcze był majtkiem i szczerą widocznie czuł litość dla swego biednego kolegi, w cieniu ogrodu sute śniadanie.

— Możecie przyjść dzisiaj wieczorem na kolację, rzekłem mu, — wogóle codzień, jak długo w tych stronach zostaniecie.

— O! pan jest bardzo dobry!... Pan jest strasznie dobry... kapitanie... Nie... nie zatrzymam się tu dłużej... Muszę iść dalej... W Saint Jean de Luz jutro odpust, spodziewam się dobrze zarobić na moich grzebieniach.

Zanim odszedł, otworzył swe pudło, by zostawić jedną książeczkę z pieśniami służącemu mojemu na pamiątkę.

— Dajcie spokój, bronił się ten, — schowajcie to, sprzedacie to przecież...

— Ależ to bardzo ładne... warto przeczytać, co tu wydrukowane... Weźcie tylko. Możecie niejedną chwilę nad tem spędzić przyjemnie.

Zabolało go serce, gdy wzgardzono tym małym skromnym jego podarunkiem i biedne jego zamglone oczy spojrzały smutniej i łzawiej jeszcze w żywe i jasne zwykle oczy młodego człowieka, w których nagle zabłysła ogromna dobroć i słodycz.

— No, więc dobrze, — dajcie mi ją, schowam ją sobie. Dziękuję wam szczerze... Ta książka wieczorami będzie nieraz dla mnie miłą rozrywką.

Teraz dopiero opuścił nas były marynarz, wśród serdecznych dziękczynień... Długo bardzo, przez zielone gałęzie ogrodu widziałem jego pochyloną postać, przypominającą mi starą, drżącą małpę... wreszcie znikł mi z oczu.

Służący mój, trzymając w ręku książeczkę z pieśniami, patrzył także zadumany i smutny za oddalającym się towarzyszem... Może jego czekała także kiedyś przyszłość taka, jak życie tego przedwcześnie zestarzałego człowieka, który nas przed chwilą opuścił, — który nigdy w życiu nikomu nic złego nie zrobił, nawet jako majtek wzorowo zawsze w marynarce służył...

I głębsze, serdeczniejsze współczucie leżało w tem przyjęciu podarunku i słowach, że mu „wieczorami miłą będzie rozrywką“, niż w tem, że swemu nieszczęśliwemu koledze — żebrakowi, tak troskliwie śniadanie w cieniu ogrodu przygotował.

Tłumaczył: *Marjan T.*

EDMUND LIBAŃSKI

Technika walk podmorskich.

...Przenieśmy się myślą ponad rozległy ocean. Burza przebiega od krańca do krańca, a wzburzone tonie morza ciskają olbrzymie bałwany — ocean kipi złowrogim gniewem.

Na ten zmienny, demoniczny żywioł idą wielkie i małe budowle człowieka; dziki ocean unosi na swym grzbiecie żelazne cuda współczesnej techniki na niepewne losy.

Lecz czyż aż do dna pieni się morze?... czy tam niżej, pod tymi górami i dolinami bryzgających fal nie usypia w trwałej ciszy tajemniczy świat podmorski?

Tak jest, — najdzikszy orkan nie wryje się na znaczną głębokość w mokre otchłanie. Już w głębokości 8—10 metrów zanika wszelki ślad walki żywiołów.

Więc zamiast puszczać się na niebezpieczne losy, choć w jak największej pływającej twierdzy, czy nie lepiej obmyśleć statek podwodny, który zanurzony w tej głębi ciszy i spokoju, ukryty bezpiecznie przed okiem wroga, rzucałby z pod wody śmiercionośne pociski?

I rzecz znamienna — tchnienie bożka wojny ożywiło umysły wynalazcze.

Było to podczas amerykańskiej walki o niepodległość (r. 1770).

Dla zniszczenia nieprzyjacielskich okrętów skonstruował amerykanin Bushnell łódź podwodną, której celem było przymocowanie miny wybuchającej pod dnem wrogich statków. Łódź jego zatapiała się przez napełnienie wodą, a wypływała na powierzchnię przez wypompowanie tejże.

Motorem do poruszania pod wodą były śruby okrętowe, obracane zwykłą ręczną korbą. We wnętrzu było pomieszczenie tylko dla jednego człowieka, który miał poprowadzić łódź pod wodą do okrętu nieprzyjacielskiego, umieścić tam minę, a ta po pewnym czasie za pomocą przyrządu zegarowego eksplodowała.

Pierwszy ten pomysł nie zaznaczył się powodzeniem, w każdym razie był dowodem, że można istotnie skonstruować statek, poruszający się pod wodą.

Po mniej więcej 20 latach ożyła ta idea w umyśle słynnego wynalazcy parostatków, Fultona.

W maju w r. 1801 mieli Paryżanie ogromną sensację.

Na Sekwanie popisywał się „Nautilus“, podwodny statek Fultona, o kształcie cygara, 7 m. długości; wypływał, zanurzał się, poruszał się z prądem wody i przeciw prądowi, ku zdumieniu tysięcy widzów, zebranych na obu brzegach rzeki.

„Nautilus“ zbudowany był z drzewa, ściągniętego żelaznemi obręczami, posiadał u góry kopułę z oknem soczewkowem i hermetycznem zamknięciem, poruszany był śrubą przy pomocy korby. Zanurzenie i wypływanie odbywało się za pomocą wpuszczania wody do komór lub wypompowania, — do oddychania służyło ściśnione powietrze.

Ponieważ wówczas Francja toczyła wojnę z Anglją — statek ten miał być użyty do niszczenia angielskich okrętów.

Podczas próby w Hâvre „Nautilus“ wytrzymał pełnych pięć godzin pod wodą.

Napoleon I. nie miał jednak należytego zrozumienia dla wynalazków Fultona i dał temu dobitny wyraz, mówiąc o nim: *„c'est un fou“**)

Udał się więc Fulton do Anglji i tam doznał uprzejmego przyjęcia i poparcia u nieubłaganego wroga Francji, ministra Pitta.

W r. 1804 we wrześniu wyruszyła angielska flota, zaopatrzona w miny pomysłu Fultona, w zamiarze zaatakowania floty francuskiej pod Boulogne.

Wyprawa ta nie udała się, albowiem okręty francuskie wyruszyły z portu i miny nie wyrządziły wielkiej szkody.

Teraz nastąpił niepomyślny zwrot dla wynalazku Fultona; zrozumiano doniosłość tej straszliwej podwodnej broni, — w obawie więc, że wynalazca mógłby nią zaopatrzeć wrogie mocarstwa, odmówiono mu wszelkiej dalszej pomocy.

W r. 1815 zmarł Fulton i jego „Nautilus“ poszedł w zapomnienie.

Tymczasem dużo zmieniło się na świecie. Napoleon I. pędził ciężkie dni na wyspie św. Heleny, gdy przemytnik angielski, nazwiskiem Johnson, mając przyrzeczone olbrzymie sumy za wyswobodzenie cesarza, powziął plan wydobycia go z niewoli przy pomocy statku podwodnego.

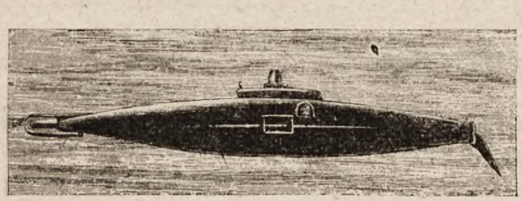
Budowa tego statku była już na ukończeniu, wtem przyszła wiadomość o śmierci wielkiego Korsykanina, który w nieopatrznej chwili zapoznał doniosłość wynalazku, umożliwiającego urzeczywistnienie planów podboju świata.

---

*) Wynalazca był Irlandczykiem. Urodzony w Ameryce, był początkowo malarzem, następnie zupełnie się oddał studjom nad mechaniką.

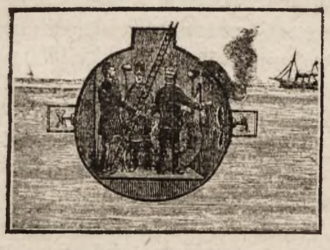
Postępu znacznego w budowie statków podwodnych dokonał Szwed, Thorsten Nordenfeldt, słynny wynalazca rewolwerowych armat.

Statek swój podwodny zbudował Thorsten Nordenfeldt w kształcie cygara (rycina 1 — 2) o długości 30½ metra a średnicy 3·6 metra; spo-



Rys. 1. STATEK NORDENFELDA.

rządzony był z najlepszej szwedzkiej stali. Do poruszania używał on pary, wytwarzanej w zwykłych kotłach, opalanych antracytem. Kotły te wytwarzają



Rys. 2. STATEK NORDENFELDA, przekrój.

nadmiar pary, która gromadzi się w osobnych kociołkach celem użycia podczas jazdy podwodnej. Wystarczyć to może mniej więcej na 6 godzin przy naprężeniu 4 atmosfer, podczas gdy napięcie w głównych kotłach wynosiło 10 atmosfer.

Łodzie Nordenfeldta skonstruowane są dla zanurzenia do 20 m. pod powierzchnią. W połowie obu boków znajdują się obracalne dokoła pionowej osi śruby, przy których pomocy, po szczelnem zamknięciu komina, cały statek może być zatopiony. Ruch śrub w kierunku przeciwnym podnosi go do góry.

Cztero-skrzydłowa śruba, umieszczona u jednego końca tej łodzi, umożliwia ruch wprzód i wstecz, za śrubą znajduje się ster. Oprócz wentylatorów i pomp posiada statek ten aparat, podający głębokość zanurzenia, oraz regulator, służący do zatrzymania ruchu śrub, gdy dopuszczalna głębokość zanurzenia przypadkiem zostanie przekroczona.

Załoga składa się z 3-ch osób, które wchodzą do wnętrza przez ruchomą szklaną kopułę. Statek ten posiada na przodzie urządzenia do lansowania torpedów Whiteada.

Nordenfeldt zbudował następnie drugi statek o długości 40 metrów, który, gdy kopuła i komin znajdują się ponad wodą, przerzyna fale z szybkością 17 węzłów w godz. Waga tego statku wynosi 250 ton, machiny dają siłę 1300 koni parowych, pod wodą zaś ma osiągnąć chyżość 12 węzłów. Wnętrze pomieścić może załogę złożoną z 8 do 9 osób i jak twierdzi wynalazca, przebywać można pod wodą 12 godzin. (C. d. n.)

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Album etnograficzne Zygmunta Glogera.* Warszawa, nakładem autora.

W sposób bezpretensjonalny a bardzo zajmujący zestawił pan Gloger, jeden z najwytrwalszych badaczy naszej kultury, typy etniczne z całej Rzeczypospolitej zebrane. Jest tam szlachta polska majętniejsza i chodaczkowa, są chłopi i mieszczanie polscy, litewscy. białoruscy i ukraińscy.

Typy te, mimo drobnych różnic, zlewają się w jeden charakter etniczny, którego wytwórczynią była Rzeczpospolita. W tym ogromnym kotle państwowym pomieszały się przez długie wieki współżycia te wszystkie plemiona tak dokładnie, że wytworzył się z tego jeden typ, którego istnienie kończy się z granicami Rzeczypospolitej, ostro u granic Moskwy, mniej ostro od strony Prus i Czech. Typ ten łączy Adama Krasińskiego i króla Władysława Łokietka i jenerała Dezyderego Chłapowskiego, królów, szlachtę i chłopów polskich w jedno pojęcie etniczne, jeśli nie tożsame, to ogromnie pokrewne. To przeświadczenie, jakiego nabiera się z oglądania rasowych twarzy, zamieszczonych na rycinach Albumu, jest najmilszym wnioskiem czytelnika, który to wniosek sam zresztą bez wysiłku się nasuwa.

K. M.

Współczesne prądy umysłowe i polityczne. Serja II. napisał Ludwik Kulczycki. Wyd. Pol. Tow. Nak. 1904 r. (Autoreferat).

Pierwsza serja „Współ. pr. umysł. i pol.“ poświęconą jest charakterystyce nastroju inteligentnych sfer naszego społeczeństwa w zaborze ros. Rozpatrywałem tam walkę z pozytywizmem w imię metafizyki i uczuciowości, poddałem krytyce zasadnicze idee Szczepanowskiego i Lutosławskiego, scharakteryzowałem ruch etyczny, przeszedłem następnie do przedstawienia reakcji w sferach patrjotycznych, która wyraziła się w nacjonalizmie demokratów-narodowych; szczegółowszemu rozbiorowi poddałem broszurę p. Balickiego pod tytyłem „Egoizm narodowy“, zaznaczyłem upadek demokratyzmu u naszych nacjonalistów, wreszcie poświęciłem jeden szkic antysemityzmowi, badając jego genezę i skutki,

zakończyłem zaś pierwszą serję szkiców rozdziałem p. t. „Jacy jesteśmy“, w których usiłowałem wykazać bezpodstawność różnych samochwalczych hymnów, na cześć naszą przez niektórych pisarzy stworzonych.

W drugiej serji szkiców, która przed tygodniem niespełna wyszła z druku, poddałem bardzo szczegółowej krytyce tak zwany kierunek wszechpolski. Pierwszy szkic poświęcony został ideom p. Dmowskiego, jego „Myślom nowoczesnego polaka“. Szkic ten w połowie swej drukowany był rok temu w feljetonach „Kurjera lwowskiego“. W wydaniu książkowem uległ on dopełnieniu. Szczegółowo omówiłem w II. serji szkiców nowy program stronnictwa demokratyczno-narodowego, wykazując jego chwiejność, ogólnikowość i niezgodność z czynami partji. Specjalny szkic poświęciłem też pracy p. Topora o „Niepodległości Polaków“, w której młody ten publicysta demokratyczno-narodowy usiłował obronić, niewytrzymującą krytyki, tezę, iż w walkach politycznych i w wojnach zwycięża zawsze siła moralna.

W ten sposób w obydwóch powyższych książkach starałem się dać dokładny obraz demokratów-narodowych w teorji i praktyce.

W drugiej serji szkiców opisałem konflikt rossyjsko-finlandzki, charakteryzując społeczeństwo finlandzkie, jego ustrój społeczno-polityczny i walkę z rządem. Przedstawiłem też stosunki polityczne w Gruzji i antagonizm jej mieszkańców do Rosji. Podałem zarys programu stronnictw rewolucyjnych w tym kraju. Na przykładzie Finlandji i Gruzji wykazałem bankructwo polityki ugodowej, nie potrzebowałem też zbyt obszernie pisać o naszych ugodowcach, zaznaczyłem tylko minimalność ich żądań, oraz nieuzasadnione nadzieje.

W szkicu p. t. „Nowy prąd radykalno-patrjotyczny“ scharakteryzowałem program „Społeczności polskiej“ i nowego pisma p. t. „Kuźnica“. Zaznaczyłem nieokreśloność pierwszej, oraz tendencje autonomiczno-konstytucyjne drugiego.

„Bundowi“ i „Obecnej sytuacji politycznej w Rosji“ poświęciłem dwa ostatnie rozdziały mej pracy.

Nie mogę tu streszczać moich szkiców, które pisane zwięźle, dotyczą wielu zagadnień polityczno-społecznych, których omówienie zajęłoby wiele miejca. W ostatnim szkicu, oraz w dodatkach znajdą czytelnicy polscy programy partji socjalistycznych w Rosji. II. serja szkiców daje więc pewien jednolity obraz prądów rewolucyjnych i opozycyjnych w Rosji i w zaborze rosyjskim. O partjach socjalistycznych w tym ostatnim się nie rozpisywałem, ponieważ praca M. Mazowieckiego*), wydana przed paru miesiącami, omawia ten przedmiot obszernie.

Odrębne miejsce w serji II. szkiców zajmuje artykuł „O politycznem wykształceniu u nas“.

Myślą przewodnią mych szkiców jest to: nie mogąc na razie utworzyć niezależnego państwa polskiego, powinniśmy w zaborze rosyjskim dążyć do jakichś większych zdobyczy autonomiczno-konstytucyjnych, korzystając z tych zawikłań w jakich się carat znajduje. *L. K.*

Josephus Flavius, charakterystyka człowieka i historja, na tle współczesnych wypadków, napisał *Majer Balaban*. Lwów 1904. Na podstawie dzieł historyka i renegata żydowskiego, Józefa Flawiusza i późniejszych opracowań, wysnuł jeden z najmłodszych historyków narodu żydowskiego charakterystykę epoki upadku państwa żydowskiego, zdobycia Jerozolimy przez Tytusa i charakterystykę osoby Józefa Flawiusza, tego jedynego może w dziejach żyda, który radował się z upadku Sjonu, tryumfował razem z Tytusem i kohortami jego w Rzymie, a cieszył się ze śmierci ostatniego wodza żydowskiego, Szymona bar Giory, którego zwycięzca po tryumfie zrzucił ze skały tarpejskiej. — Broszurka napisana żywo, czyta się z ciekawością.

NOTATKI. *Setna rocznica zgonu Schillera.* D. 9. maja 1905 przypada setna rocznica zgonu Fryderyka Schillera. W Niemczech rozpoczęto już przygotowania do obchodu rocznicy, przedewszystkiem różnemi wydawnictwami. Między innemi muzeum Schillera w jego mieście rodzinnem, Marbachu nad Neckarem, wyda rocznik imienia poety, zawierający obfity, nie spożytkowany dotychczas materjał literacki i poetycki Schillera samego i o nim.

*) Historja polskiego ruchu socjalistycznego w zaborze rosyjskim.

Antoni Czechów, znakomity satyryk i nowelista, zmarły w Badenweilerze nad Renem, pochodził z ludu; ojciec jego był jeszcze poddanym, a potem rządcą na wsi. Antoni Czechow urodził się 29. stycznia 1860 roku w Taganrogu, ukończył tamże gimnajum, poczem udał się do Moskwy na wydział lekarski i w r. 1884 uzyskał stopień lekarza. Praktyką jednak nie zajmował się wcale, albowiem już na ławie uniwersyteckiej poświęcił się literaturze. Mianowicie od r. 1879 umieszczał drobne utwory humorystyczne w *Budilniku, Oskołkach* i *Strekozie*, potem odcinki i nowele w *Petersburskiej gazecie*, aż wreszcie *Nowoje wremia* zaprosiło go do współpracownictwa, dając mu możność pisywania swobodnie, co chciał i kiedy chciał. Dzięki temu wkrótce obok mnóstwa obrazków i opowiadań, a nawet dramatów, ukazał się w poważnym miesięczniku *Russkaja myśl* pierwszy większych rozmiarów utwór Czechowa p. n. „Step“. W roku 1886 ukazał się pierwszy zbiór jego nowel, a w roku 1891 redakcja *Niwy* ogłosiła ogólny zbiór pism Czechowa, zapłaciwszy za nie 75 tysięcy rubli. Zabezpieczony materjalnie, pragnąc skreślić dzieło poważne, Czechow pojechał przez Syberję na Sachalin i w osobnej książce odtworzył obraz życia wygnańców. Podróż ta wszakże nabawiła znakomitego pisarza suchot, których nie wyleczył dłuższy pobyt na Krymie i za granicą.

Jeden z wybitnych pisarzy rosyjskich, W. Doroszewicz, żegna zmarłego temi słowy: „Od śmierci Turgieniewa inteligencja rosyjska nie poniosła równie ciężkiej straty, jak dzisiaj. Zgon Czechowa — to prawdziwa klęska narodowa. Niezrównany artysta doszedł zenitu swojej twórczości i wtem, jak gwiazda spadająca, stoczył się z widnokręgu. W utworach jego, przepełnionych nietylko smutkiem, lecz i nieśmiałą nadzieją lepszej przyszłości, historyk odnajdzie dokładny obraz naszych czasów.“

ZAPISKI BIBLJOGRAFICZNE.

— Bölsche W. Pochodzenie człowieka. Z wieloma rysunkami.

— Drtina Fr. Rozwój umysłowy ludów Europy.

— Górski St. Łódź społeczna, obrazki i szkice publicystyczne.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.